

**Helena Januś**  
**z domu Styk**  
**Lata szkolne: 1946-1953**

To nie lada wyzwanie napisać wspomnienia sprzed 70 lat, w dodatku gdy mają one dotyczyć okresu dziecięcego. Po prostu pamięć nie zarejestrowała i nie zatrzymała ich zbyt wiele. Utrwaliła tylko jakieś migawki, bardziej z domu niż ze szkoły.

Urodziłam się w październiku 1939 r. i czuję się dzieckiem wojennym. Z samej wojny niewiele jednak wiedziałam i pamiętam. Dziecko utrwała w pamięci momenty albo radosne, albo traumatyczne. Dla mnie takich chyba nie było. Starsi ogromnie dbali o to, by dzieci nie były włączane w żadne sprawy czy dyskusje związane z sytuacją wojenną i miały w miarę normalne życie. Ale do tej pory, jak zaczyna się wrzesień, potem październik, odczuwam irracjonalny lęk i wojna śni mi się od czasu do czasu. Mój rodzinny dom usytuowany w Chrzanowie I w pobliżu kościoła i szkoły był domem spokojnym, bezpiecznym zapewniającym naszej czwórce dzieci w miarę dostatnie, jak na tamte warunki, życie.

Mając 7 lat, czyli w 1946 r. poszłam do szkoły. Nie było to dla mnie jakieś nadzwyczajne przeżycie, budynek szkolny był w pobliżu domu i uprzednio bywałam w nim od czasu do czasu. Na skarpie usytuowana była stylowa drewniana willa, w której mieszkał dyrektor szkoły z rodziną oraz inni nauczyciele. Ważne, bo z nauczycielami znał się mój ojciec, przychodzili oni do nas do domu, a ja często, zanim poszłam do szkoły, bywałam w drewnianej willi, bawiłam się z ich dziećmi, a wszystko co tam widziałam, było dla mnie nowe, ciekawe, niemalże egzotyczne. Szkoła to przedwojenny murowany, piętrowy, z czerwonej cegły budynek, również klasami, w których stały ławki z dziurką w pulpicie na kałamarz i zapuszczonymi czarną ropą podłogami. Moim pierwszym dyrektorem, był pan Stanisław Blinowski. Nie pamiętam, czy uczył w szkole, ale doskonale pamiętam jego elegancką sylwetkę, był ubrany najczęściej w wysokie buty zwane oficerkami. Pamiętam go też w akcji, gdy ze starszą młodzieżą szkolną plantował wzgórze znajdujące się między domem nauczyciela a szkołą. Zasadzili wtedy naokoło placu szkolnego mnóstwo świerków, akacji i lip, które po latach stanowiły piękną oprawę szkoły. Potem, już duże drzewa, zostały wycięte. Czas zabrał również stylową przedwojenną willę – dom nauczyciela, wcześniej Dom Ludowy, wycięto też okalające cmentarz drzewa, zgniła stara, pochylona, drewniana kapliczka majona przez nas polnymi kwiatami, odeszła stara parterowa plebania i w końcu również drewniany kościół. Moją ukochaną nauczycielką była p. Irena Blinowska. Skromna, szczupła, niewysoka pani, z lekko przypłoszonym siwizną kokiem, w czarnym paltociku z narzuconą na ramiona niebieską dzierganą szydełkiem chustą. Taką ją widzę dotychczas. Ona spełniła ważną rolę w moim życiu, a myślę, że podobne zdanie miało wielu młodych ludzi z tamtych lat, którzy mieli szczęście z nią się zetknąć. Była panią nauczycielką na początku mojej szkolnej edukacji i ona w dużym stopniu mnie ukształtowała, ulepiła jak Tosia Plastusia. Otworzyła przede mną świat książki, czarów, magii teatru, piękna. Prowadziła nas, czyli całą klasę do pobliskiego lasu „Lipnego Dołu”, usadzała na polanie i czytała lub opowiadała pokazując na pniaki drzew, że właśnie tam mieszkają krasnoludki, a my maleńtasy z otwartymi buziąmi słuchaliśmy tego wszystkiego. Ona przynosiła na lekcje o podłużnym formacie książeczki „O Koziołku Matołku” Kornela Makuszyńskiego. Wyczarowywała dodatkowe efekty z najukochańszego „Elementarza” Mariana Falskiego. Prowadziła do sadów, by pokazać i omówić piękno złocistych i czerwonych jabłuszek na jesiennych jabłoniach, kazała potem je rysować i zachwycała się każdym naszym bazgrołem. Ukazała magię teatru poprzez organizowanie szkolnych przedstawień. W jednym z nich grałam rolę chorej matki, a tak chciałam być żabką zamienioną w księżniczkę. Organizowała nam Gwiazdki, a w sali Domu Ludowego, usytuowanego na skarpie po prawej stronie idąc z dołu do kościoła, dla całej wsi uroczystości z udziałem św. Mikołaja. Tam po raz pierwszy dostałam prezent i wielce stremowana na scenie mówiłam przed św. Mikołajem i publicznością wierszyk. A potem państwo Blinowscy wyjechali do Elbląga. Z ich córką Wiesią przyjaźniłam się i bardzo mocno przeżyłam tę ich przeprowadzkę. A inni nauczyciele? Jednym z nich był p. dyr. Edward Kozina- pan od matematyki, z którym zawsze miałam kłopoty. Wspomnienia z nim

związane, oprócz cierpliwych wysiłków byśmy pojęli zawilości cyferkowe, wiązały się z organizowaniem nie mniej dla mnie niepojętych wieczornych „capstryków” z akademiami pierwszomajowymi, na które przyjeżdżały rozśpiewane dzieci z sąsiednich wsi umajonymi drabiniastymi wozami. Były tańce i deklamacje okolicznościowych wierszyków. On też pasował nas na uczniów szkół średnich. Oprócz zajęć szkolnych była również religia. Najpierw lekcje odbywały się w szkole, później w kościele. Księdzem, moim katechetą, był ks. Kwieciński. Przed lekcjami mówiliśmy głośno modlitwę "Duchu Św., który oświecasz...", a po lekcjach: "Dzięki Ci, Boże, za światło tej nauki..."

Po skończeniu 7-letniej Szkoły Podstawowej w Chrzanowie zdałam egzamin do Liceum Ogólnokształcącego w Janowie Lubelskim. Oczywiście wtedy nie było mowy o żadnych autobusach i innych dogodnych środkach lokomocji. Przez 4 lata, nie patrząc na pogodę, a więc również i w siarczyste mrozy, woził mnie tam ojciec sankami, latem furką zaprzęzoną w koniki. Tam po latach nauki w klasach VIII, IX, X i XI zdałam maturę i otrzymałam świadectwo dojrzałości.

Dalsze moje losy to Kraków, gdzie w 1962 r. ukończyłam Wydział Polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. W późniejszych latach szkoła z rodzinnej wsi służyła nam, już młodzieży, która przecież poszła do różnych szkół, jako punkt kulturotwórczy. Tu organizowaliśmy np. zabawy sylwestrowe albo potańcówki w okresie letnim. Chłopcy korzystali ze szkolnego boiska. A potem przyszły inne czasy i „moja” szkoła jakby zmaląła, z czasem jednak zaczęła przybierać nowe kształty, poszerzać się. Ale dawna substancja, czyli Dusza Szkoły została w nowych murach, a przede wszystkim w naszych uczniowskich sercach.

Życzę szkole kolejnych stu lat! Młodzieży osiągnięć zawodowych i udanego szczęśliwego życia osobistego. Niech zawsze pamiętają o swoich korzeniach i nigdy nie uważają, że pochodzenie wiejskie to coś pejoratywnego. Zapewniam, że jest wręcz przeciwnie. To środowisko wiejskie, dom, szkoła, kościół, tradycja, nierzadko ciężka praca, wreszcie przyroda kształtują nas jako wartościowych wrażliwych ludzi.

Helena Januś

Łosie, grudzień 2017 r.

Helena Stykówna

Zdjęcie z okazji Pierwszej Komunii 1948 r.

